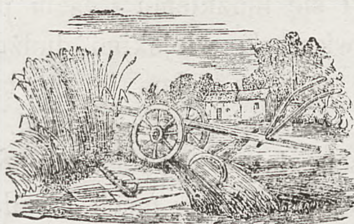
Tom II. 1. Lipca 1870. Nr. 1.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Od Wydawcy.

Z 14 numerem naszego Dzwonka zmieniła się redakcya, o czem czytelnicy się przekonali z podpisu nowego wydawcy i redaktora na dole na czwartej kartce. Należy się teraz odemnie szczere słowo powitania z rozpoczynającą się drugą połową rocznika bieżącego. Dzwonek, który dziś podjąłem się wydawać, był mi nauczycielem w młodszych latach moich, gdym jeszcze chodził do szkół, a dziś kiedy ze szkół wyszedłem, doświadczywszy na sobie jak to ciekawa i nauczająca gazeta i niejednę chwilę uprzyjemni i nie jednego nauczy, staram się nie zmieniać nic w składzie naszego pisemka. Ci uczeni i serdeczni pisarze, którzy dotychczas pisywali do Dzwonka przyrzekli mi i nadal nadsyłać swoje prace, aby je na pożytek dobrych ludzi drukować w naszem piśmie.

Jak już widzieliście moi czytelnicy z wydanych numerów za mojej redakcyi, są współpracownikami Dzwonka wszyscy dawniejsi wasi starzy znajomi. Oni was znają od lat wielu i wiedzą, czego wy chcecie, co czytać lubicie, ja to wiem także, bom wzrósł między wami i nieraz z sąsiadami moimi długie godziny przegawędziłem o naszej doli, o ludzkiej pracy, o sprawach gromadzkich, o roli i ochudobie, znam dobrze wieś naszą

i naszą świętą ziemię, bom po niej w szersz i wzdłuż piechotą schodził, a napatrzył się ludzkiemu weselu po żniwie i ludzkiej biedzie na przednowku. Z wiejskimi ludźmi siadywałem za stołem i chlebem i solą tą żyłem, a powiadają, że ten jest dobry przyjaciel, ko z tobą zje beczkę soli.

Przez dwadzieścia lat Dzwonek wychodził i z wami się zrósł jak stary znajomy, więc niech i nadal będzie waszym przyjacielem, a wy moi czytelnicy starajcie się go roszerzać aby czem raz więcej było zamawiających przedpłacicieli, aby się to nasze pismo powiększało na pożytek dobrym ludziom, i na chwałę Bożą.

Pożar wioski.

Ziemia i cała dokoła przyroda,
Spała już dawno, biegiem swym zmęczona.
Wtem — na wsi, z chaty, ogniste ramiona
Światła trysnęły nagle, niby woda
Z krwawej fontanny i czerwono smugi
Zarumieniły łuną niebios szlaki.
Psy wyć poczęły na trwogę, a ptaki
Z gniazd się zerwały i w takt jeden długi
Bijąc skrzydłami, uciekały z strachem.
Płomień wywijał się jak wąż nad dachem,
Nareszcie buchnął słupem z każdej strony.
Lud wstał przelękły, a głos zrozpaczony
Jakiś brzmiał — dreszczem przejmując do kości:
„Gdzie moje dziecko! ratujcie, litości!“
Nikt nie chciał walczyć z wzburzonym żywiołem,
Który ogarnął domem aż do szczytu.
Każdy stał milcząc.

Z podniesionem czołem,
Jakby posłaniec boski z nad błękitu,
Gdzieś odedworu, zdaje się z ogrodu,
Niby bohater Trojańskiego grodu,
Zjawił sę młodzian......
Młodzieniec spojrzał. Blask palił mu lica
Szlachetnem męztwem. Zadrżał, a po chwili,
Jak dumny orzeł rozpostarłszy loty,

Jak wódz na czele szturmującej roty,
Wpadł w środek domu. Wszyscy się modlili
Za nim, truchlejąc, bo ogień dokoła
Rozrywał w sztuki ściany i wiązania.
.... Wśród krzyku,
Niby grom szybko rzucił się w płomienie.
Lud oddech wstrzymał. Bojaźń i zdumienie
Śmiertelnym dreszczem przeszywały dusze.
Każdy spoglądał w uroczystej skrusze,
I oczekiwał zbawcy.
Pędem strzały
Wybiegł nareszcie młodzian ogorzały
Z ognia jak z piekła, unosząc na ręku
Dziecko łez pełne i tkliwego jęku.
Ledwie je matce oddał, gdy niebawem
Dom się zawalił, wśród strasznego zgrzytu,
Jakby nań ciężar puścił kto z błękitu,
Lub jakby szatan przy świetle jaskrawem
Tysiąca iskier, zatrząsł posadami
Zczerniałych głowni.....

Franciszek Gumowski.



Ojczyzna.

Ojczyzną naszą, to bracia twoi,
Twoi ojcowie i twoje matki!
Dawni rycerze w skrzydlatej zbroi,
Dumne pałace i kmiece chatki!
Ojczyzną naszą — to łany twoje,
To groby przodków skryte żałobą!
Rodzine gaje, łąki i zdroje,
I te niebiosa, co lśnią nad tobą!
Ojczyzną twoją chłopię Sarmackie:*
To pieśń wolności i łzy tułackie!

*) Sarmackie, tyle co polskie.

Wł. Bełza.



Ksiądz Wojciech Męciński.

Wielebny Ksiądz Piotr Skarga, najsławniejszy kaznodzieja i pisarz XVI. stulecia, w dziele swojem pod tytułem: „Żywoty Świętych Pańskich" umieścił także żywot ks. Wojciecha Męcińskiego, który lubo przez kościół za świętego nie uznany, niemniej zasługuje na cześć i uwielbienie, szczególnie ze strony rodaków. Sądząc zapewne słusznie, że poznajamianie się ze szczegółami żywotów bądź to świętych patronów, bądź mężów w inny sposób chlubą dla narodu będących, przynosi wam mili czytelnicy Dzwonka nie mały pożytek i zadowolenie, daję tutaj krótki obraz życia ks. Wojciecha Męcińskiego, o którym nigdy jeszcze nic nie słyszeliście. Opowiadanie moje osnułem na obszernym żywocie tegoż księdza Wojciecha, skreślonym piórem ks. Skargi.

Urodzony roku pańskiego 1601. z rodziców bogobojnych i świetnego pochodzenia, ojca Wojciecha i matki Szczęsnej z Głogowskich, oddany został do szkół lubelskich.

Przykładając się pilnie do nauk, wolne chwile poświęcał modlitwom, które go niesłychaną słodyczą i radością napawały.

Tegoż czasu z czytania i słuchania rozmaitych opowieści o męczennikach w Japonii, kraju leżącym w Azyi, nabrał wielkiej chęci do przelania krwi za Chrystusa, a oraz i do wstąpienia do zakonu księży Jezuitów. Skoro tę chęć przywdziania sukni zakonnej objawił matce swojej, która podówczas wdową była, nietylko że nie otrzymał pozwolenia, lecz owszem ściągnął na siebie zapalczywy gniew łagodnej skąd inąd rodzicielki. Wojciech ucieszony w duszy, iż cierpi dla Chrystusa, stał się powolny rozkazom matki. Ukończywszy szkoły w Lublnie, udał się na wyższe nauki do akademii krakowskiej, która zawdzięcza swój początek królowi Kazimierzowi Wielkiemu, uposażenie zaś i dalszy rozwój Jagielle i cnotliwej małżonce jego Jadwidze. Tu wkrótce przyszedł do możności spełnienia zamiarów swoich, gdyż śmierć zawsze mu drogiej matki, obdarzyła go zupełną wolnością. Zaczem przystojny, odpowiedni świetności pochodzenia pogrzeb matce sprawił,

i udał się do Rzymu, gdzie do zakonu przyjęty, próbę zakonną (nowincyat) z wielkiem wszystkich zbudowaniem odbył.

Roku 1623 do Polski wrócił i w Kaliszu filozofii słuchał. Pod ten czas zmarł mu młodszy brat Stanisław, robiąc jedynym spadkobiercą ogromnego majątku naszego Wojciecha, który zakonowi wszystko zapisując, wypowiedział pamiętne słowa: „Jużem dał panu Bogu wszystko co miałem, nic nie zostaje, tylko abym mu krew moją ofiarował.“ Później powtórnie do Rzymu wysłany, uczył się teologii, to jest tego wszystkiego, co kapłan umieć powinien, którą dokończył w Luzytanii, gdzie też na księdza wyświęconym został. Dostąpiwszy godności kapłańskiej, odprawił pierwszą mszę świętą (prymicye) w dzień ofiarowania N. Panny, poczem udał się do Lizbony, miasta nadmorskiego, by snadniej na miyę do Indyi się przeprawić. I w chwili, kiedy już prawie był u kresu swych życzeń, doznaje zawodu. Przed samym bowiem odjazdem do Indyi, otrzymał ks. Wojciech list od przełożonego zakonu z Polski, który mu nakazywał zaniechać dalszej podróży, i powracać jak najspieszniej do ojczyzny.

Przyczynę do tego odwołania dały dziwne żądania powinowatych Wojciecha, co do ojcowizny, którą prawnie zapisał zgromadzeniu krakowskich Jezuitów. Za łaską Boga udało się szczęśliwie Wojciechowi pokonać wszystkie przeciwności, i już w roku 1631 widzimy go na powrót w drodze do Lizbony, skąd okrętem puścił się do Indyj wraz z wielu ojcami.

W tej morskiej podróży dawał liczne dowody swoich cnót i poświęcenia, szczególnie kiedy służył chorym na zaraźliwą malignę, z której około dwieście osób umarło. Po drodze zatrzymał się w Goi, dy oddać należną cześć szczątkom ciała św. Franciszka Ksawerego, tamże spoczywającym. Puściwszy się się z Goi wprost do upragnionej Japonii, napadniętym został w drodze przez srogich pogan, którzy obdarli go ze wszystkiego i na dobitek przez sześć miesięcy trzodę paść kazali.

Uwolniony, po kilkudniowej żegludze przybył nareszcie do Japonji. Zaledwo doknął stopami (swemi) nowej i nieznanej

sobie ziemi, już widzimy go pojmanego przez straż, czuwającą, by żaden chrześcianin do kraju dostać się nie mógł. Po wybadaniu kim był i skąd przychodził, odstawionym został do starosty przedniejszego miasta Nangazachu. Srogi tyran kazał Wojciecha wtrącić do ciemnego i smrodliwego więzienia, skąd co drugi dzień wyprowadzany w następujący sposób był męczony: przywiązywano go na wznak do drabiny, z przekrzywioną na tył głową, aby była sposobną do wlewania wody, którą go kaci przez lejki tak długo poili, dopóki nie spostrzegli, że już oddychać nie może, potem wkładali męczone ciało między dwie tarcice, które chłopi najsilnejsi ściskając jedna do drugiej, napowrót wodę wysączali.

Taką mękę ksiądz Wojciech sto i pięć razy wytrzymał.

W końcu otrzymawszy wyrok śmierci, powieszony głową na dół na dniu 23. marca 1643 roku, licząc lat 42 (czterdzieści i dwa.) Lecz nie tu koniec okrucieństwom pogańskim, pastwili się bowiem jeszcze i po śmierci w rozmaity sposób nad ciałem Wojciecha, a w końcu spalili je, zatapiając pozostałe popioły w głębokościach morskich, nie mogąc jednakże zatrzeć pamięci świętego męża, która przed Bogiem i ludźmi wiekuje i wiekować będzie.

Tak dokonał żywota ziemskiego rodak nasz, by i na krańcach świata wiedziano o synowskiem przywiązaniu Polaków do Chrystusa i jego kościoła.

Naród zaś mający cały szereg patronów i męczenników podobnych Wojciechowi, którzy nieustannie znoszą modły do stóp tronu Najwyższego, skoro tylko szczerze i sumiennie będzie pracował, śmiało może potuszyć o lepszej przyszłości swojej ojczyzny, pocieszając się chwilowo słowami wieszcza narodowego:

Palmą Chrystus obdarzył narody zbawione
Nam Polakom cierniową przekazał koronę:
Pańska to jest korona i nośmy ją radzi,
Krew pod nią zlana, nowe zbawienie sprowadzi.

Zenon Rawicz Pszczółka.

Kilka słów o księdzu Piotrowiczu i prześladowaniu za wiarę braci naszych Polaków na Litwie.

Opowiedzieliśmy wam niedawno historyę o księdzu Piotrowiczu i prześladowaniu naszych braci na Litwie i nawracaniu na szyzmę. Teraz także niecoś dowiecie się, jak to Moskale nas gnębią, ale tylko bardzo krótko — boć wszystkiego, co oni tam codzień dokazują, nikt by spisać nie potrafił.

Na miejsce wywiezionego ks. Piotrowicza, mianowany został dziekanem i proboszczem przy kościele ś. Rafała ks. Kulesza, który spełnia wszelkie podłości. Obecnie postanowili splugawić czyn pobożny i odważny ks. Piotrowicza, i rozkazali duchownym podpisywać pismo, że ks. Piotrowicz był łotrem, pijakiem, rozpustnikiem. Żyliński, ów główny prześladowca naszej wiary, obstawał za tem, że Piotrowicz powinien być śmiercią karany. Lubo ks. Piotrowicz sam na śmierć był przygotowany i przed onem mężnem wystąpieniem swojem wszystkiej chudoby swojej się zbył, zachowując przy sobie tylko 25 rubli „dla kata,“ poprzestano jednak na wywiezieniu go do Archangielska.

Kulesza rozwozi swój adres czyli akt fałszywego świadectwa do wszystkich kapłanów, żądając podpisu; lecz większa część, zwłaszcza młodszych, chociaż zgnębieni i poniewierani przez zapamiętale brnącego w swych nieprawościach naczelnika, który do nich inaczej się nie odzywa, jak po moskiewsku, zowiąc ich najobelżywszemi słowami, oparli się wszelkim groźbom Syberyi, zdarcia sukni duchownej, a nawet i śmierci, i odmówili podpisu, odpowiadając jednozgodnie: „z pomocą Bożą gotowiśmy naśladować ks. Piotrowicza, ale charakteru naszego kapłańskiego nie spodlimy fałszywem świadectwem.“

Parafianie ś. Rafała, po większej części lud rzemieślniczy i prosty, ale pobożny, a do tego zelektryzowany ostatniem kazaniem i czynem ks. Piotrowicza, ze strachem spogląda na dzisiejszego swego proboszcza Kuleszę, ale i z rodzajem gotowości odporu w razie naruszenia przezeń przepisów wiary świętej. Było tego już parę przykładów: Jednej parze przybyłej do ślubu Kulesza nie inaczej chciał ślub udzielić, jak po

moskiewsku, w skutek czego ona para wyszła z kościoła i wyrzekła się ślubu. Innym razem ubodzy jacyś ludzie przynieśli dziecię do chrztu i znowu proboszcz wystąpił z tem samem żądaniem spełnienia obrządku po moskiewsku; dopiero gdy rodzice chrzestni okazali gotowość odejścia z nicochrzczo nem dzieckiem, Kulesza zatrzymał ich z oświadczeniem, że po raz ostatni udzieli taki chrzest, jaki oni chcą, ale nie inaczej jak za rubla, na co biedni zgodzić się musieli, choć może ta opłata przewyższała ich możność. Powiadają, że na nabożeństwa lud się zbiera z kamieniami w kieszeni, aby w razie wystąpienia z moskiewskiem kazaniem mówcę niemi poczęstować. Bóg wie, co ztego będzie i na czem się to wszystko skończy.

Postrach ks. Żylińskiego ogromny w całem mieście. Wszędy ma swoją policję, liczną a czynną i głośno się z tem chwali przed wszystkimi, że ktoby o nim śmiał co powiedzieć, całe życie tego pożałuje, bo władzę ma nieograniczoną i potrafi jej użyć.

Łatwo się domyślić, że nigdy już mszy ś. nie odprawia, nie tyle może dla sumienia, ile raczej dla tego, że nie śmie się na ulicy pokazać. Lęka się wszystkich, trzeba przejść do jego pokojów przez czterech żandarmów, w rozmaitych ubraniach, a każdy zapytuje „za czem“ — podobnież, kiedy kogo przyjmuje, asystują mu i otaczają go żandarmi. Na ulicy miejska straż pilnuje domu jego, nie pozwalając przechodzącym nawet w okna spojrzeć.

Podczas karnawawału jacyć dwaj trefnisie w maskach, przebrani za djabłów, przybyli do Żylińskiego jakoby po jego duszę. Naturalnie wypędzono ich, choć wówczas jeszcze tak gęstej straży nie było koło niego. Ale nazajutrz pojechał ze skargą na nich do Potapowa, który mu odpowiedział: „Od ludzi strzegę Pana, bo muszę, ale na złe duchy nie mam sposobów; sam sobie z niemi radź.“

Niedawno znowu zamknięto kościół w Turgielach w Oszmańskiem. Rozpacz i jęk wielki parafian; chcą pójść ze skargą do cesarza; biedni! nie wiedzą, że napróżno!...



Mysza wieża.

Kiedy król Popiel umierał, zwołał swoich braci i powierzył im w opiekę swego syna, prosząc ażeby gdy dorośnie, tron mu oddali.

Stryjowie uczynili go całej ziemi zwierzchnikiem i pod imieniem Popiela II. panować zaczął.

Jednego dnia przybyło do zamku kruświckiego dwóch młodych podróżnych, nadzwyczaj urodziwych. Prosili oni o gośćinność, ale książę Popiel nietylko ich nie przyjął, lecz kazał psami wyszczuć za bramy zamku; wtedy udali się do chaty Piasta kmiecia i kołodzieja w Kruświcy. Ten ich przyjął gościnnie i uraczył hojnie. Młodzieńcy owi cudownym sposobem rozmnożyli miód i mięsiwo tak obficie, że Piast nietylko uraczył księcia Popiela i cały dwór jego, ale nawet mnóstwo mieszkańców z okolicy.

Popiel II był złym, gnuśnym i rozpustnym. Za radą żony Niemki, udał chorobę i zaprosił swoich stryjów do zamku kruświckiego, potruł ich i kazał powrzucać do Gopła. Utrzymywał potem przed ludem, iż bogowie pokarali ich nagłą śmiercią za to, że go niby zamordować chcieli.

Z trupów potopionych stryjów wylęgło się mnóstwo myszy, które ścigały Popiela aż do wieży zbudowanej na wyspie jeziora Gopła i tam go pożarły. Wieża ta odtąd nazywała się „Myszą wieżą.“

Okrutny książę moskiewski

(Zdarzenie prawdziwe.)

Bliźnim jest każdy człowiek, a brata bliźniego
Bóg nam tak kazał kochać, jak siebie samego.

Było to w roku 1842, w miesiącu lipcu. — Słońce dobiegało południa dopiekając nieznośnie mieszkańcom miasta Petersburga, stolicy cara moskiewskiego. Mimo tego po ulicach pełno ruchu i gwaru — Najbardziej tłumno po stronie domów olbrzymich, gdzie padał gruby cień murów.

Od strony Newy, rzeki opływającej miasto, biegł spiesznie jakiś człowiek, okryty odartym płaszczem wieśniaka, a przy nim pies. Sprószona odzież i skwarem słonecznym spieczone usta, dawały w nim poznać podróżnego. Nie podziwiając wspaniałości miejskich, dążył wprost do pałacyku księcia (kniazia, jak Moskale nazywają) Gagarina, stojącego na końcu ulicy, którą szedł.

Skoro przyszedł do wrót pałacu, rzekł do odźwiernego: „Jestem poddanym ks Gagarina i przychodzę tutaj z ważną wiadomością."— Niebawem zaprowadzono go do izby książęcej. — Książę leżąc na wygodnej kanapie, zwyczajem próżniaczych panów moskiewskich, przemyśliwał zapewne nad nowemi przyjemnościami i zabawami. — Ujrzawszy wchodzącego włościanina, krótko zapytał: czego chce.

Przybyły upadł na kolana i mówił z pokorą:

„Kniaziu! (książę) jestem wasz poddany i przychodzę tutaj żebrać waszego miłosierdzia. Od dawna strzegłem zwierzyny po waszych borach najuczciwiej; zmuszony głodem zabiłem zająca. — Srogi dozorca, lubo wiedział o przyczynie mego sprzeniewierzenia, zabrał mi za karę najmilsze z moich dzieci i zamknął w ciemnej piwnicy. — A skoro wszystkie prośby i błagania nie zdołały poruszyć kamiennego serca dozorcy, przychodzę do ciebie panie boso i o głodzie, sześćdziesiąt wiorst przebiegając, z nadzieją, iż powiesz: twoje dziecko będzie ci oddane."

Księciu słowa biednego ojca zdały się być zbyt śmiałemi. Wrzasnął więc gniewnie:

— „Psi synu! twój postępek zasłużył na karę. Paszoł sobie.“ — Wieśniaka nie przeraziły te obelżywe słowa, a podniósłszy się z ziemi wyrzekł: „przyjdę jutro.”

Drugiego dnia schodzącemu ze schodów Gagaranowi, zaszedł drogę wczorajszy wieśniak, lecz na rozkaz księcia odtrąciła go służba w tak okrutny sposób, iż z zarumienionem krwią obliczem padł na twarde kamienie ulicy.

Następnego dnia udało się skrzywdzonemu ojcu przedrzeć powtórnie do izby książęcej. — Książę spojrzał ku niemu i mrowie go przeszło — tyle w jego oczach, bladych policzkach i posiniałych ustach dzikiej rozpaczy i boleści. — Tym razem nie upadł na kolana, lecz stojąc odważnie wyrzekł donośnym głosem: „ostatni raz przychodzę” — i zacisnął usta, czekając odpowiedzi. — Zuchwałość poddanego wprowadziła w zapalczywość księcia, który sypnął jak gradem obelżywemi wyrazami — dowodził słuszności postępku leśnego dozorcy... — ale w tej chwili utkwiła mu kula w piersi. — Zrozpaczony ojciec dopuścił się zabójstwa, za które ci tylko nie cisną na niego kamieniem potępienia, którym są znane uczucia serc ojcowskich.

Natychmiast pochwycony, skazany został na sześć tysięcy rózg.

— W kilka dni na obszernym placu ustawiono żołnierzy w równej linii; zgromadzili się tam także i panowie moskiewcy, by napaść wzrok swój okrutnym widokiem — i lud biedny, by go ujrzeć, i choć spojrzeniem litośnem ulżyć boleści nieszczęśliwemu.

Wtem przywieziono skazanego.

Kiedy wózek stanął wśród żołdactwa, mimo bicia darł się ku niemu zmęczony i schudzony pies, zwierzę które słusznie za godło wdzięczności i przywiązania uważanem bywa. Wpadł na wózek, żałośnie wył i przyczepił się do stóp pana swego, jakby przeczuwał męki, które go czekają.

Wieśniak nasz usilnie przycisnął zwierzę do łona swego, całując i ściskając tego jedynego przyjaciela, który mu się nie lękał okazać miłości i wierności.

Widząc to, nie jeden z przytomnych szczerze zapłakał. Lecz czułość psa, sprowadzająca rumieniec wstydu na lica

oprawców, nie uszła bezkarnie, — porwano go od pana i rotrzaskano głowę kolbami.

Więzień widząc to porwał się i skoczył z wózka.

Pochwycono go jednak i rozpoczęto godną dzikich ludzi egzekucyę.

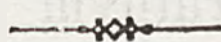
Obnażonemu do połowy, kazano przebiegać szeregi żołnierzy wśród najokropniejszych razów. — Ciało odlatywało kawałkami, upadał, odchodził od siebie, aż na koniec zdawał się być zupełnie umarłym. — Wrzucono go tedy na wózek i do szpitalu zawieziono. Tu leczono go starannie i troskliwie. — Ale zadrży w każdym serce, skoro opowiemy, że na to tylko, aby wyrok na nim najakuratniej spełniono.

Po przyprowadzeniu biedaka do zdrowia, odbyto powtórnie ochydną oprawę, lecz wyroku nie spełniono, bo po pierwszych dwóch tysiącach pałek skazany męczeńską śmiercią skonał.

Otóż Gagarin, dzikiego serca książę moskiewski, stał się powodem swojej i bliźniego śmierci.

A to jedynie z przyczyny, iż nie pamiętał, że każdy człowiek starszy czy młodszy, kobieta czy mężczyzna, jednej lub niejednej z nami wiary, biedny czy bogaty, jest dzieckiem wspólnego nam Boga, a przeto naszym bratem i bliźnim, którego Chrystus Pan kazał kochać mówiąc; „kochaj bliźniego jak siebie samego.”

Z. R. P.



Rozmaitości.

* Malarz wędrowny. Do jednego pana, który będąc słaby na nogi rzadko gdzie wyjeżdżał, a nie mając ani żony ani dzieci bardzo się w domu nudził, przyszedł raz malarz wędrowny i dalejże rozpowiadać duby smalone o swojej sztuce. Pan uwierzył wszyskiemu, przyjął go gościnnie, karmił i poił. Na drugi dzień powiada pan do malarza, iż chciałby aby mu jaki piękny obraz wymalował.

— Bardzo chętnie, odpowie malarz, tylko stawiam warunek, aby nikt zgoła nie przychodził nigdy do tego pokoju, w którym malować będę, póki obraz nie zostanie skończony.

Pan przystał na to, dał malarzowi pieniędzy na farby i płótno, i wyznaczył mu pokój, w którym miał malować. Odtąd zaczęły się dla malarza szczęśliwe chwile, jakich może nigdy w życiu nie zaznał. Spiżarnia i piwnica były na jego rozkazy. Czego

tylko zapragnął, wszystko mu przynoszono, jadł więc i pił za czterech. Pan sprawił mu nowe suknie, nowe buty, i ile mógł starał się uprzyjemnić mu pobyt w swoim domu. Z końcem lata jednak widząc, że malowanie jakoś bardzo długo się przeciąga, zaczął się codzień dopytywać, kiedy obraz będzie skończony. Malarz odkładał z dnia na dzień, a pan czekał. Wreszcie gdy malarz wypił już wszystko wino z piwnicy, pozjadał wszystkie kury, gęsi i indyki, przebrała się miarka cierpliwości starego pana, i pomimo umowy wszedł raz do pokoju malarza. Ten z początku bardzo się zmięszał, ale wnet odzyskał przytomność. Pan szuka obrazu, lecz znajduje tylko płótno rozpięte, a na niem ani śladu malowidła, ani jednej nawet kreski.

— Ty hultaju, ty oszuście! — zakrzyczy pan; — cóżeś wymalował przez całe lato?

— Przejście Izraelitów przez morze Czerwone, — odpowiedział najspokojniej malarz.

— Gdzież Izraelici?

— Już przeszli.

— Gdzież Egipcyanie, którzy ich ścigali?

— Potopili się w morzu.

— A gdzież morze?

— Rozstąpiło się, aby Izraelici mogli przejść.

Pan nie mogąc już dłużej znieść tej bezczelności oszusta, dalejże z laską na malarza. Ale pan był stary i chory na nogi, a malarz młody i krzepki. Łatwo więc zgadnąć, że nim pan mógł odbić na skórze malarza swoje wino i indyki, oszust skoczywszy do nóg po rozum, czmychnął do ogrodu, a ztąd dostał się łatwo na gościniec i poszedł szukać innych lubowników malarstwa.

S ł a w n y l e k a r z, k t ó r y w j e d n y m d n i u w s z y s t k i c h c h o r y c h w s z p i t a l u u z d r o w i ł. Jakiś z waszecia, przyszedł do jednego szpitalu i udając, że jest lekarzem, kazał się oprowadzać po salach, w których chorzy leżeli. Potem poszedł do przełożonego nad szpitalem i tak mu powiedział:

— Mój panie, widziałem wasz szpital i wszystkich chorych i przekonałem się, że macie bardzo złych lekarzy. Jeżeli mi dacie trzysta złotych, to wszystkich waszych chorych w jednym dnu uzdrowię. Trzysta złotych wprawdzie piękna sumka, piechotą nie chodzi, ale policzcie sobie, czy was to nie więcej kosztuje kilku lekarzy opłacać i tylu chorych kilka tygodni a może i miesięcy utrzymywać i żywić.

Przełożony nad szpitalem namyślił się i rzekł:

— Jeżeli doprawdy dokażesz swojej sztuki, dam ci trzysta złotych.

— Słowo?

— Słowo

Ułożywszy się tak z przełożonym, poszedł teraz obcy do szpitalu i rzekł chorym:

— Zapowiadam wam, że was wszystkich dziś jeszcze wyleczę i wszyscy pójdziecie zdrowi do domu, z wyjątkiem jednego z pomiędzy was, z którego zrobię lekarstwo, aby drugich wyleczyć.

Chorzy byli bardzo ciekawi co to będzie za lekarstwo.

— Oto, rzekł hultaj, jednego z was, który jest najbardziej chory,

spalę żywcem na popiół i ten popiół dam wam wypić.

To powiedziawszy, wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Ale zaledwie się oddalił, chorzy zaczęli jego słowa rozważać i każdy chciał drugiego przekonać, że nie jest bardziej chory od niego. Nawet jedna stara baba, która od tygodnia ani się ruszać nie mogła, wyskoczyła z łóżka i dowodziła, że nie jest bardziej chorą jak inni.

Dziwny ów lekarz kazał tymczasem ułożyć na dziedzińcu stos drzew, tak aby go chorzy widzieli, a podpaliwszy go, poszedł do przełożonego i rzekł:

— Chorzy są już zdrowi, chodź i przekonaj się, ale weź z sobą od razu pieniądze, bo ja ani chwili nie mogę się tu zatrzymać.

Przełożony wziął pieniądze i poszedł z nim do chorych, a lekarz wchodząc do sali zawołał:

— Wszystko gotowe! kto zdrów może iść do domu, a kto chory, niech zostanie.

Na te słowa chorzy, którzy już byli zupełnie do drogi gotowi, dalejże w nogi, jeden drugiemu przez głowę. W mgnieniu oka cała sala była próżna. Przełożony nad szpitalem otworzył gębę z podziwienia, a widząc, że lekarz słowa dotrzymał, wypłacił mu sumę umowioną.

Wziąwszy pieniądze, lekarz udał się zaraz do miasta. Kupił sobie konia i pojechał w świat. Gdy we dwa dni potem wszyscy chorzy wrócili do szpitalu, szukano go w całem mieście, ale nadaremnie.

* Jeden hultaj nie mając grosza w kieszeni, przyszedł do karczmy, siadł za stołem obok innych gości kazał sobie podać kiełbasy, chleba, wódki, zajadał smacznie i popijał. Po niejakim czasie każdy z gości zapłacił za siebie i wszyscy zabierali się do odejścia. Teraz przyszła kolej na hultaja. Gdy karczmarz zbliżył się do niego, hultaj nie tracąc miny, rzekł:

— Kiełbasa była doskonała, chleb wyśmienity, wódka co się zowie, ale mój gospodarzu, pieniędzy odemnie nie dostaniecie, bo nie mam ani grosza. Lecz kwita byka za indyka, zaspiewam wam kilka ładnych piosneczek, które się wam pewnie spodobają.

— Ej łotrze, powie gospodarz, długo będziesz spiewał zanim się mi która z twoich piosneczek spodoba.

— Ale jeżeli się wam która spodoba, podchwyci hultaj, przyjmiecie ją zamiast pieniędzy?

— Zgoda, od powie karczmarz, postanowiwszy sobie w duchu ganić każdą piosenkę, choćby była najpiękniejszą.

Hultaj wezwał wszystkich obecnych, aby byli świadkami zakładu i zaczął śpiewać jednę piosenkę po drugiej. Ale karczmarz za każdą mówił, że mu się nie podoba.

— Oj doprawdy trudno wam trafić do smaku, rzecze hultaj. Ale umiem jeszcze jednę piosenkę, może ta wam się spodoba.

Lecz i ta się nie podobała.

— Źle ze mną! powie znów hultaj. Wyjął z kieszeni woreczek skórzany, przekrzywił głową żałośnie, westchnął i sięgając palcami do woreczka, zanucił smutnym głosem: „Nie pomogły

piosnki — karczmarz rozgniewany, — otwórz że się otwórz, mój worku skórzany.

— Tak, to mi się podoba, zawoła karczmarz i wyciągnął rękę po pieniądze.

— Podoba się wam powie hultaj?— zamykając woreczek wygrałem więc zakład i płacić nie potrzebuję.

Karczmarz zaczął się spierać, ale musiał ustąpić, bo świadkowie przyznali słuszność hultajowi.

Sztuki w Pacanowie. Do Pacanowa, gdzie kozy kują, przyszedł raz żydek wędrowny, a zobaczywszy przed karczmą kilkanastu chłopaków, tak do nich zagadał:

— Moi wać panowie, ja umiem pokazywać bardzo śliczne sztuki, umiem chodzić po sznurze jak kot. Auf majne munes, wy tego ani nie widzieli, ani nigdzie nie zobaczycie.

— Hej — powie jeden parobek — pokażże nam te sztuki.

— Ny, jabym pokazował, ale to kosztuje geld. Dajcie każdy po dwa grajcary, to pokażę. Umiem jeszcze inne sztuki, to wam potem za darmo będę pokazywać.

Zbiegło się jeszcze nieco ludzi, wszyscy byli bardzo ciekawi, i każdy dał chętnie dwa grajcary, a kto nie miał, ten od drugiego pożyczył, byle sztuki zobaczyć. Przynieśli potem długi gruby sznur.

Żydek wziął sznur, przywiązał go za końce do dwóch drzew i rzekł:

— Ny, zdejmijcie teraz każdy po jednym bucie i podawajcie mi tutaj. Ajwaj! to będą sztuki!

Uczynili czego żydek żądał, a on wyjął z kieszeni grubą nić i wszystkie buty na nią za uszy ponawdziewał. Potem rzeczywiście stanął na sznurze do drzew przywiązanym i rzekł:

— Wszystkie pieniądze, któreście mi dali, daruję temu, który najprzód znajdzie swój but,

To mówiąc puścił nić i zesypał buty na kupę.

Chłopacy rzucili się na buty, każdy chciał być pierwszym, aby dostać pieniądze — powstało zamięszanie. Szukając swego buta, każdy chwytał cudzy, wtem siąsiad mu go wyrywa, lecz i jego odpychają. Przyszło wreszcie do pięści i razów i nim każdy odzyskał swój but, nie mało już było sińców. Nareszcie uciszyło się, szukają żydka, lecz jego ani śladu już nigdzie nie było.

Wyrok śmierci. Było to za dawnych czasów, kiedy miasta miały prawo miecza, to jest kiedy każda rada miejska mogla złoczyńcę na śmierć skazać. W małej jednej mieścinie złapano złodzieja i za to, że pani burmistrzowej ukradł kurę z garnka, skazano go na szubienicę. Gdy wyrok wydano, złodziej odezwał się do panów radnych?

— Mości panowie! Chociaż nadto surowy na mnie wydaliście wyrok, nie będę was błagał o życie, niech się dzieje wasza wola; ale chciałbym was prosić o jedną rzecz, która ani szeląga nie kosztuje. Czyż mi umrzeć mającemu odmówicie.

— Jeżeli nie o życie chcesz prosić, lecz o coś innego i to takiego, co ani szeląga nie kosztuje, powiedz czego żądasz a stanie się zadość twemu życzeniu, — powie burmistrz.

— Przysięgacie mi to?

— Jeżeli doprawdy nie będzie potrzeba wydać ani szeląga na to, o co chcesz prosić, to przysięgam.

— Otóż ja proszę, rzecze złodziej, aby pan burmistrz oderznął mego trupa z szubienicy, aby mnie na plecach zaniósł do domu i aby ze mną trzy dni i trzy nocy jadał przy jednym stole i sypiał w jednem łóżku.

Ciarki przeszły po burmistrzu, obejrzał się na panów radnych, ale ci powiedzieli:

— Musisz dotrzymać, boś przysiągł. Dobrze ci tak! Nie trzeba być skorym do przysięgi.

Złodzieja odprowadzono do więzienia i wszyscy się rozeszli.

Mija dzień jeden, drugi, trzeci, piąty dziesiąty, złodziej widząc, że pan burmistrz jakoś się nie spieszy z wykonaniem wyroku, kazał się zaprowadzić do niego i rzekł:

— Panie burmistrzu, mnie się już przykrzy w więzieniu, albo mię wieszajcie, albo — jeżeli wam trudno przysięgi dotrzymać — dajcie mi parę złotych, abym się mógł gdzieindziej kazać powiesić, a wtedy będziecie wolni od przysięgi.

Oczywiście burmistrz wołał dać parę złotych niż trupa nosić, z nim jadać i sypiać. Puścił go też zaraz.

Nauczyciel który nawet osła czytać nauczył. Jeden nauczyciel chełpił się, że nawet osła nauczy czytać. Chwycił go dziedzic za słowo i rzekł:

— Dobrze, jeżeli mojego osła nauczysz czytać, dam ci dwieście złr.

— Zgoda, odrzekł nauczyciel, ale sto złotych z góry dostanę.

Pan przystał, a nauczyciel zabrał osła do szkoły. Umieściwszy go w stajni, wziął książkę, nakładł pomiędzy kartki siana i położył przed osłem. Osieł był głodny, więc chcąc jeść musiał kartki językiem przewracać.

Wówczas nauczyciel pobiegł do dworu i powiada panu, że już dokazał swojej sztuki. Pan przychodzi do stajni, a ujrzawszy co osieł robi, uśmiał się do rozpuku.

— Ależ on nie czyta, on tylko siano wybiera — rzecze pan po chwili.

— I owszem, on czyta — twierdził uporczywie nauczyciel.

— Skoro czyta — rzecze pan — niechże więc powie co przeczytał.

— Ba, ba, ba, zachciał pan! — odpowie śmiało nauczyciel; przecież się nie podjąłem nauczyć osła mówić, tylko czytać.

Do dzisiejszego numeru załączamy „Katalog Dziełek ludowych“ jakich nabyć można w księgarni Sayfarta i Czajkowskiego; bardzo one przydatne dla Bibliotek ludowych i Czytelni.

Również przesyłamy Szanownym prenumeratorom Spis rzeczy, zawartych w tomie I. z roku 1870. — Upraszamy równocześnie o odnowienie prenumeraty, aby uregulować nakład wydawnictwa.

Redakcja Dzwonka przeniosła się z Wałowej ulicy.

Wszelkie listy i reklamacje upraszamy nadsyłać pod adresem Redakcja Dzwonka l. 602 $^{1}/_{4}$ - Pałac Dzieduszyckich.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza